

*A on dął się, że mnie też
nic do niego, wszystkim wara
od jego życia. Upaprał je
tak, że już za późno!*

*Sam już nie wie, co dobre w jego życiu,
a co złe! Że jedynymi wytchnieniami
są te łgarstwa, które mówi dziewczynom,
bo to są przynajmniej święte łgarstwa.*

ZDRADZIŁ SIEBIE DLA MAĆKA

M **ZOFIA
KUCÓWNA**

ieszkałam wtedy na Hożej, dopiero co po zakończeniu pewnego etapu życia związanego z uczuciem, które miało być „do grobowej deski” i „na zawsze”, a okazało się brakiem mojej stałości, wierności, lojalności, etc. etc.

Na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że przeżywałam zakończenie tej „do grobowej deski” pełną winy i skrępowań, ale będąc już kobietą po dwudziestce wiedziałam jednocześnie, że każde strzaskane uczucie może odrodzić się, a rana po nim zabliznić. Lecz aby to nie stało się zbyt wcześnie, na straży mojego śpieszącego się sumienia stanęli niektórzy koledzy i przyjaciele, którzy nie zaakceptowali podziału czegoś, do czego przyzwyczaili się, polubili i utrwaliili w swojej świadomości jako jedność.

Szczególnie mocno utrwaliło się w mojej pamięci spotkanie ze Zbyskiem Cybulskim i rozmowa z nim w garderobie teatru Ateneum, w którym wtedy pracowałam. Wystąpił jako starszy i odpowiedzialny za mnie kolega, nie mogący i nie chcący przyjąć faktu, że zdradziłam szkolną miłość dla kogoś, kogo on nie cierpi i nie uznaje.

Z początku słuchałam jego morałów pełną dobrej woli, zbijając śmiechem docinki, nazywając je zwykłą zazdrością, co go okropnie irytowało. Ale w pewnym momencie wściekło mną i wypaliłam mu swoją prawdę o nim, dla niego nie najlepszą, albowiem, jako że nic ukryć się nie da o sobie sławnym ludziom, doskonale wiedziałam, do jakich niesubordynacji uczuciowych zdolny jest nasz polski James Dean.

Był wtedy u szczytu powodzenia. Uwielbiany, kochany, lulany, wszędzie z entuzjazmem witany. Rozgadawał się, zawieruszał na całe tygodnie, prowadził życie wagabundy, partyzanta własnego życia, którego jedynymi stałymi wartościami materialnymi były pionierki na nogach, na grzbiecie kurtka z demobilu i słynny chlebak przewieszony przez lewe ramię z dzwoniącym w nim kubkiem wojskowym.

Dom, syn, żona, to były kruche i jakby nie do końca uświadomione dobra, które przyszły same niechcący i jakoś tak mimochodem. Niby traktował je poważnie, ale jakby nie chciał stać się ich własnością. Wchodził w nie z doskoku i od czasu do czasu tylko. Wolał być własnością nas wszystkich, całej Polski i ją szczerze sobą obdarowywać i choć też z doskoku, to jednak bez reszty. Żył bujnie i buńczucznie z fasonem Maćka Chełmickiego z „Popiołu i diamentu”, dla którego, aby go zagrać, urodził się.

Na postać Maćka nałożył się cały życiorys Zbyszka i jego pookupacyjnego pokolenia, którego był integralną częścią ze wszystkimi dramatami, tęsknotami, marzeniami i ambicjami. Nikogo z nas nie interesowała prawda historyczna czy wydzwięk



FOTO ARCHIWUM

ideologiczny ani książki Andrzejewskiego, ani filmu Wajdy. Nas obchodziła jedynie sylwetka sprawnego, odważnego, romantycznego młodego akowca.

O sukcesie Zbyszka w Maćku powiedział mi Jasio Machulski w Lublinie. Staliśmy na Krakowskim Przedmieściu w pobliżu teatru, w którym razem pracowaliśmy. Janek przyjechał z próbnymi zdjęć do „Pożegnań” i rozbawiony relacjonował mi przebieg tych lipnych zdjęć, ponieważ wiadomo było od początku, że grać będzie Tadzio Janczar, więc na diabła te męki dla innych? – Ale nie żałuję, że byłem. Zobaczyłem na pokazie Zbyszka w „Popiole...”. Genialny!!! Nie było takiej roli w naszym filmie, nigdy!!! Jasio stał na ulicy i grał mi Zbyszka Maćka. Byłam olśniona Zbyskiem, Maćkiem i Jankiem. No i kiedy spotkałam się niedługo potem ze Zbyskiem w warszawskim SPATiF-ie, to zobaczyłam nie Zbyszka, jakiego znałam przed laty, lecz Zbyszko-Maćka-Janka. I zrobiło mi się strasznie przykro i smutno, bo on był jakby obcy lub cudzy, już nie mój Cybuch. Niby ten sam, a jakiś inny. A mimo to chciało mi się z nim i mówić, i być, i ocierać się o jego genialność, i łączyć się do niej, i pochlebiać jej. A on przyjmował

mnie chętnie, choć nieuważnie, serdecznie, choć z dezynwolturą chłopca, który wie, że jest najfajniejszy w całej parafii. I byłam zwyczajnie ucieszona, ale i onieśmiona. A jednocześnie przecież będąc jego płomienną adherentką, ganiłam go za to coś nowego, co się w nim pojawiło, a na pewno nim nie było. Tę jakąś odświętność fasoniastą samotnego kowboja polskiego. I nie rozumiejąc do końca istoty zjawiska, bo byłam za głupia i za młoda na to, aby rozumieć mechanizm społecznych presji i żądań kreujących i i modelujących swoich ulubieńców, instynktem wiedzioną, pomyślałam sobie:

– No to będzie z nami bieda. Ty jesteś już w innym miejscu, ale mnie niedostępnym. I tak się stało. Wszystkie nasze następne spotkania przynosiły dla mnie niedosyty i nie zaspokajały mojego uczucia, niegdyś z całą pewnością odwzajemnianego autentycznym kumpelskim przywiązaniem. Zwykle to było tak, że on fanfaroniasto gawędził, cudownie zresztą, bo miał do tego talent, a ja, jak Wyspiański na bronowickim weselu, patrzyłam i słuchałam. I otóż zauważyłam, że czasem jakby zatrzymywał się, cichł i przyglądał się sobie na ułamek sekundy, jakby wsłuchiwał się lub sprawdzał. Brzydl wtedy w tej jakiejś roztargnionej powadze. Czas wnosił do naszego życia nowe

pokolenia, dla których mit polskiego Jamesa Deana z AK nie był tym samym mitem, co dla niego. Nie uszło to jego uwadze. Przy całym swoim rozchaotycznieniu, nieporządku życiowym miał dobry instynkt.

Zaczął od niego żądać zatrzymania się w czasie. Zaczął się nie podobać, że się zmieniał, starzał, tył i stał się mniej atrakcyjny. Chciano, aby był ciągle Maćkiem Chełmickim, a nie Zbyskiem Cybulskim. Niby lekcewał, szydził, ironizował, ale jednocześnie poddawał się tej presji i przyspieszał tempo swego życia, chcąc nadążyć za uciekającym w przeszłość Maćkiem. Dyszał, charczał, dusił się, brakowało mu tchu, serce nie nadążało, przepona, zwiroteczała po nocnych alkoholowych biesiadach, zawodziła.

Był naszą ofiarą i ofiarą czasu odartego z polskich bohaterów. Dano nam obcych z „Poematów pedagogicznych”, „Opowieści o prawdziwych ludziach” i „Hartujących się stalach”, w papaszach, rubaszkach, z harmoszkami na plecach. Naszych, z biało-czerwonymi opaskami na ramionach, z małymi harmonijkami przy ustach, rozstrzelano plakatami na murach mianując ich „zapłutymi karłami reakcji”.

Więc kiedy na ekrany wkroczył Maćka Chełmicki z akowskim wigorem we współczesnych dzinsach, zwiariowaliśmy. Wszyscy. On też.

ŻYŁ BUJNIE I BUŃCZUCZNIE
Z FASONEM MAĆKA CHEŁMICKIEGO
Z „POPIOŁU I DIAMENTU”,
DLA KTÓREGO, ABY GO ZAGRAĆ,
URODZIŁ SIĘ

I dla nas zdradził siebie dla Maćka. I za tę jego zdradę kochaliśmy go, nie wiedząc, że tą miłością robimy mu krzywdę. Zakłamał go i załgaliśmy tak, że już nie wiadomo było, gdzie się zaczyna i kończy on, a gdzie Maciek.

O Zbyszku napisano dużo, nawet pomnik chciano mu postawić. Lucyna Winnicka jakiś komitet powoływała w tym celu. Wiemy o nim tak dużo, że mit jego przetrwał do dzisiaj, prawda o nim została odkryta i fascynuje do dziś młodych ludzi, studentów szkół aktorskich, którzy często o niego pytają.

I ja mam swoją prawdę o nim, tę, którą wywalił przede mną tam, w garderobie teatru Ateneum, podczas naszego ostatniego widzenia się w kłótni i awanturze. A o co poszło? Właśnie o zdradę.

Przygotowywałam się do występu w Filharmonii Poznańskiej do „Świętej Joanny” Honeggera. Siedziałam na kozetce w damskiej garderobie i podlepałam na francuskiej partyturze paski papieru z polskim tekstem. Żmudna, nudna robota. Umazana klejem i tuszem, co i rusz

myłam ręce pod kranem, żeby splukać klejącą się czarną maź. Uchyliły się drzwi.

– Cześć, stara!

Podniosłam rozczochną głowę. Zobaczyłam szeroki uśmiech i ciemne okulary.

– Zbyszek! – ucieszyłam się, bo go przecież ciągle kochałam dziewczynką miłością z krakowskich plant, sportowych boisk, studenckich zabaw.

Kochałam SIĘ W NIM może trzy tygodnie, a może tylko dwa, nie pamiętam już. Ale go kochałam zawsze, bo to COŚ, jeśli nie jest spełnione do końca, zawsze pozostaje i drzemie sobie bez względu na to, czy to trwało trzy lata, czy tylko dwa tygodnie. TO zawisło w przedtackie i nigdy nie zabrzmiło, dlatego trwało długo, wiecznie. Może do dziś nawet? W szkole mi imponował. Był ode mnie starszy o sześć lat, był przewodniczącym naszego AZS-u, przewodniczącym Koła Naukowego nr 1 i leczył rany w sercu po Ewie Lassek, co intrygowało i powodowało, że każda z nas chętna mu była pomóc w tej kuracji. To był KTOŚ na tej naszej ulicy Szpitalnej vis a vis Teatru Słowackiego. Cybuch, Cyb, był ważną figurą w naszym małym sześćdziesięcioosobowym społeczeństwie.

W czasach ortodoksyjnego marksizmu on jeden, jedyne, w sposób jawny, otwarty, manifestował swoje przekonania i poglądy, na czas dzisiejszy może nacjonalistyczne, ale wówczas, w powodzi czerwonych sztandarów, zetempowskich krawatów i bolszewickich haseł – po prostu patriotyczne i zgodne z tradycjami polskiej kultury. Wierzył w Boga jedyne i nie ukrywał medalika Matki Boskiej, z którym nigdy się nie rozstawał. Wprawdzie w swoim Kole Naukowym wziął na warsztat „Poemat pedagogiczny”, ale tylko dlatego, że naprawdę wierzył w dwie wartości tej książki: w siłę zbiorową „kolektywu”, co na polski język przetłumaczone brzmiało dziwnie szlachetnie „kupaj mości panowie”, i „linie perspektywiczne”, które z kolei nie były naszym innym jak powolnym dążeniem do wiedzy, do samodoskonalenia, samowychowywania. Na pewno z nas wszystkich był najdojrzałszy intelektualnie. No, może jeszcze Herdegen. Leczył kiedy Herdegen zawsze jakby izolował się od nas angażując się w przyjaźń pozaszkolną ze Sławkiem Mroźkiem, Zbyszek integrował wokół siebie ludzi.

W szkolnej gazecie ścienniej „Młode Maski”, którą redagowaliśmy z Leszkiem Mazurkiewiczem i Jurkiem Ciapką, pod sygnaturą „CybZbysz” pisywał artykuły o potrzebie kształcenia polskiego aktora fechtunku, narciarstwa, jazdy na koniu. Żądał od nas należenia do AZS-u, brania udziału w zawodach sportowych. Nieustannie organizował obozy narciarskie, marsze i inne utrapienia, którymi dreczył nas w wolne niedziele. Lojalność, czystość, prawość, koleżeństwo to były wartości, które cenili najbardziej. Nie palił i nie pił, był zawsze na podorzędziu, żeby pomóc, wesprzeć, podtrzymać.

Ulubionym hasłem Cybucha było: – Niech żyje polska krew! – wyrzucał przy tym pięść w górę i pokazywał w szerokim uśmiechu swoje piękne, zdrowe zęby. Miał taki łatwy śmiech, taki szczodry, taki rozrzutny. A wszystko to robił na własną rękę, pod własną firmą, poza wszelkimi partiami, związkami, ideologiami. Chciał, żebyśmy wszyscy byli Fanfanami Tulipanami, Zorrami, Kmicicami, muszkietierami, husarią polską. Trzeba było widzieć, jak u-

parł się z Baśki Połomskiej zrobić Wołodyjowskiego! I zrobił! Zdobyła dla naszej szkoły zwycięstwo w zawodach szermierczych, bodaj czy nie z samym AWF-em. Bo: – Niech żyje polska krew!

Takiego go kochałam. Tam. Wtedy. Pod piecem kaflowym w wąskim korytarzu naszej szkoły. W jasnej smudze słońca w szatni starej Andziakowej. W studenckim pokoiku na Dolnych Młynów, który dzielił z Boguszem Bilewskim, a gdzie przychodziliśmy wszyscy na grzane wino z goździkami i rozmowy do białego rana o sztuce, o teatrze, o sporcie.

I takiego kochałam, gdy wściubił swój uśmiech do garderoby teatru Ateneum. Witałam go radośnie, szczęśliwie, z piskiem i krzykiem, jak wszystkich innych, gdy przyszło spotkać się nieoczekiwanie po latach niewidzenia się. Rozjechaliśmy się wszyscy, rozwieźliśmy po całej Polsce nasze linie perspektywiczne i kiedy spotykaliśmy się gdzieś przypadkiem, pośpiesznie uzupełnialiśmy brakujące fragmenty życiorysów, które toczyły się rozsypane po prowincjonalnych miasteczkach, wśród nowych ludzi, między nowymi zdarzeniami. Po czym zapominaliśmy o sobie powoli i na zawsze.

O nim jednym może wiedzieliśmy wszystko. Bo i „Bim-bom”, i „Popiół i diament”, i w ogóle wszystko inne. Cieszyliśmy się jego sukcesami. „Stareniowi” nie można było zazdrościć. Nie można było zazdrościć, ponieważ on nie był kolekcjonerem własnych sukcesów. On je jakoś przetwarzał na sukces szkoły, z której wyszedł, belfrów, nas wszystkich.

Żał było tylko, kiedy dochodziły słuchy, że zaczął się bałaganić, wicherzyć własne życie, pić. Cybuch??? A jednak tak. Każde spotkanie z nim kończyło się nad ranem w jakiejś mordowni w Alejach Niepodległości lub w „Melodii”, pośród nie do wytrzymania bełkotliwych rozmów, w których topił coś, ukrywał, coś zagłuszał. Uciekał przed czymś lub bał się czegoś. A może nam się tak tylko zdawało, bo chcieliśmy w nim wszystko do końca zrozumieć i zaakceptować. Mitologizowaliśmy więc?

I otóż jest, stoi przede mną, wrywa z brzucha ten swój bezwstydnie biologiczny śmiech. Nie, trzeźwy nie był. Nie pamiętam, jak od śmiechu i uścisków doszło do awantury. Pamiętam jednak fragmenty zdarzenia, jego aurę i kilka zdań, które głęboko wryły się w pamięć.

Kiedy podeszłam do kranu, żeby kolejny raz splukać ręce z tuszu i kleju, powiedział:

– Myj te swoje judaszowskie ręce, myj!

– Dlaczego judaszowskie?

– Zdradziłaś nas wszystkich, i Szkołę, i tamte lata.

Zgarnął z kozetki partyturę i rzucił nią o ziemię.

– Święta Joanna, święta Joanna, święta kurwa, a nie Joanna. Bo tak cię nazywają!

Krew uderzyła mi do głowy, w gardle zaczęło dusić.

A ty co? Kto ty jesteś? Gdzie się podziała ta twoja polska krew zalana wódką i bełkotem? Gdzie się podziały te twoje linie perspektywiczne? Nadal nosisz medalik z Matką Boską? Wierzysz w Boga jedyne i Kościół powszechny? W jakim rynsztoku zgubiłeś swoje 10 przykazań? Nie pal, nie pij, nie zdradzaj. Ty mi mówisz o zdradzie? Ty sam siebie zdradziłeś!

Jeżu! Co się zaczęło dzieć! Zawsze klócił się. O wszystko. Ale tym razem zaczęliśmy na siebie wrzeszczyć.

Nagle w drzwiach stanęła Hania Jarczówna, wystraszona, co tu się dzieje, ale wyrzucił ją krzyżując, że to są sprawy między nami i nic jej do tego.

A on darł się, że mnie też nic do niego, wszystkim wara od jego życia. Upaprał je tak, że już za późno! Nie może się cofnąć! Nie może zawrócić! Sam już nie wie, co dobre w jego życiu, a co złe! Że kręci się jak automat puszczony w ruch! Że jedyne wytchnienia są te łgarstwa, które mówi dziewczynom, bo to są przynajmniej święte łgarstwa. Ze czasem zadaje sobie pytanie „ku czemu” i „dla kogo” – i nie znajduje odpowiedzi, bo wszedł na jakąś drogę, z której nie może już zejść. Że wie, że nie jest tym, kim wydawało mi się, że być powinien. I tylko te cipy (tak powiedział), te cipy szkolne, gdy go rozpoznają, one jedne, jedne mają odwagę rzucić za nim rozczarowane, że król jest nagi:

– Ale gruby!

– Ale stary! Wszyscy inni kłamią i lżą, a on razem z nimi. Już ochrypl od tych kłamstw.

Złapał mnie za ramiona i trząsł mną, i wrzeszczał, i okropnie mnie nie lubił i ludzi wszystkich też.

Jak się zakończyło to nasze spotkanie, już nie pamiętam. Pamiętam jedynie, że rozstaliśmy się w gniewie i nawet wódeczka przyniesiona przez Hanię z bufetu nie pogodziła nas.

I pamiętam jeszcze to, że idąc na Hożę okropnie płakałam. Płakałam tak jak wtedy, gdy będąc niedysponowana, nie stanęłam do Olimpiady Międzyszkolnej na torze przeszkód i trzeba było oddać punkty walkowerem, a Cybuch obraził się na mnie i odprowadzając mnie z wieczornej kolacji u mamy Bilewskiej nie odez-

KOCHAŁAM SIĘ
W NIM MOŻE TRZY
TYGODNIE,
A MOŻE TYLKO
DWA. ALE GO
KOCHAŁAM
ZAWSZE, BO TO
COŚ, JEŚLI NIE JEST
SPELNIONE DO
KOŃCA, ZAWSZE
POZOSTAJE BEZ
WZGLĘDU NA TO,
CZY TO TRWAŁO
TRZY LATA,
CZY TYLKO
DWA TYGODNIE



FOTO CAF

wał się do mnie jednym słowem. Szliśmy obok siebie w zupełnym milczeniu, ja beczałam i tylko w pustce krakowskich ulic chrzęścił upiornie jego poamerykański prochowiec. Nigdy mi nie wybaczył tej „zdrady” i w tej rozmowie w garderobie też ją wykrzyczał jako koronny dowód mojej kurewskiej natury.

I wtedy, i tym razem płakałam z oburzenia i upokorzenia, i nie mogłam mu wybaczyć, że on tak wszystko śmiertelnie poważnie traktował, mimo że umiał się również śmiać.

A potem była już tylko jego śmierć, też taka głupia i taka jeszcze nie w porę, choć może jedynie już słuszną, bo ratującą od samozagłady.

W moim albumie jest mała, amatorka fotografijka, trochę zniszczona, pomięta i zamazana. Skąd się u mnie wzięła, nie wiem, bo dotyczy nie mojego roku. Dzień na pewno wiosenny, bo płaszcze porozpinane, gołe głowy, a na gębach uśmiechy, jakie nosi się tylko wiosną, gdy słońce świeci jeszcze nisko i zmusza do mrużenia oczu.

I otóż dziś ze zdziwieniem zobaczyłam, że Zbyszek jest dokładnie ubrany tak, jak się ubrał w dobre parę lat potem do Maćka Chełmickiego. Ta sama wojskowa bluza-kurtka z demobilu. Już wtedy! Okularów tylko brak.

Patrzę na tę kochaną twarz, śmiejącą się, młodą, mądrą i gniew rozpaczliwy podchodzi do gardła, że już nigdy w życiu ani śmiechu z nim, ani kłótni, ani picia wódki, ani przede wszystkim pytania:

WIĘC JAK TO BYŁO Z TOBĄ NAPRAWDĘ?

Czy zdradziłeś siebie dla Maćka, czy Maćka podporządkowałeś sobie? Nie da się ludzi zdefiniować i zamknąć w słowach. Ani w domysłach, ani w przeczuciach. Raptem wszystko, co napisałam, stało się kłamstwem i błagą przez to, że tak okropnie bezsilne.

Fragment książki „Zdarzenia potoczne”, która ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa PP Dom Książki



TIME

INTERNATIONAL

THE WORLD'S NEWMAGAZINE

TIME International - tygodnik informacyjny o światowej renomie ogłasza prenumeratę za złotówki! Decydując się już dziś zaoszczędzasz do 72% ceny kioskowej !!!

Obecnie i Ty możesz zaliczyć się do grona 30 milionów czytelników TIME Magazine w 180 krajach świata i co tydzień otrzymywać kilkadziesiąt stron najnowszych informacji o wydarzeniach światowych, biznesie, rozrywce, kulturze i nauce, ilustrowane wspaniałymi kolorowymi zdjęciami. Oficjalny dystrybutor TIME Magazine w Polsce firma SUBSERVICE proponuje trzy okresy prenumeraty: półroczny (27 tygodni) w cenie 297 000 zł, roczny (52 numery) w cenie 546 000 zł oraz superkorzystny dwuletni (104 numery) w cenie 998 000 zł. Zaprenumeruj już dziś, aby co tydzień otrzymywać prosto do domu lub biura aktualny numer TIME Magazine w rewelacyjnej cenie. Ponadto wszyscy, którzy skorzystają z niniejszej oferty do prenumeraty otrzymają gratis poręczny WEBSTER'S COMPACT DICTIONARY z 38 tys. haseł.

Prosimy o niezwłoczne przesłanie wypełnionego kuponu do: SUBSERVICE, ul. Czerwonego Krzyża 6/22, 00-377 Warszawa lub kontakt telefoniczny (02) 625 18 28. W odpowiedzi prześlemy Państwu formularz wpłaty.

UWAGA: Niniejsza oferta ważna jest tylko do 3 czerwca 1993 r.

BEING BRIGHT IS NOT ENOUGH, BEING INFORMED IS VITAL. READ TIME-THE WORD'S NEWMAGAZINE.

TAK. Jestem zainteresowany/a specjalną ofertą prenumeraty TIME Magazine i otrzymaniem wraz z nią gratis WEBSTER'S COMPACT DICTIONARY. Proszę o bezzwłoczne przesłanie na poniższy adres formularza wpłaty.

TAAMFQ3

Imię _____
Nazwisko _____
Adres _____
Kod _____
Miejscowość _____

UWAGA! Oferta ważna do 3 czerwca 1993 r.

